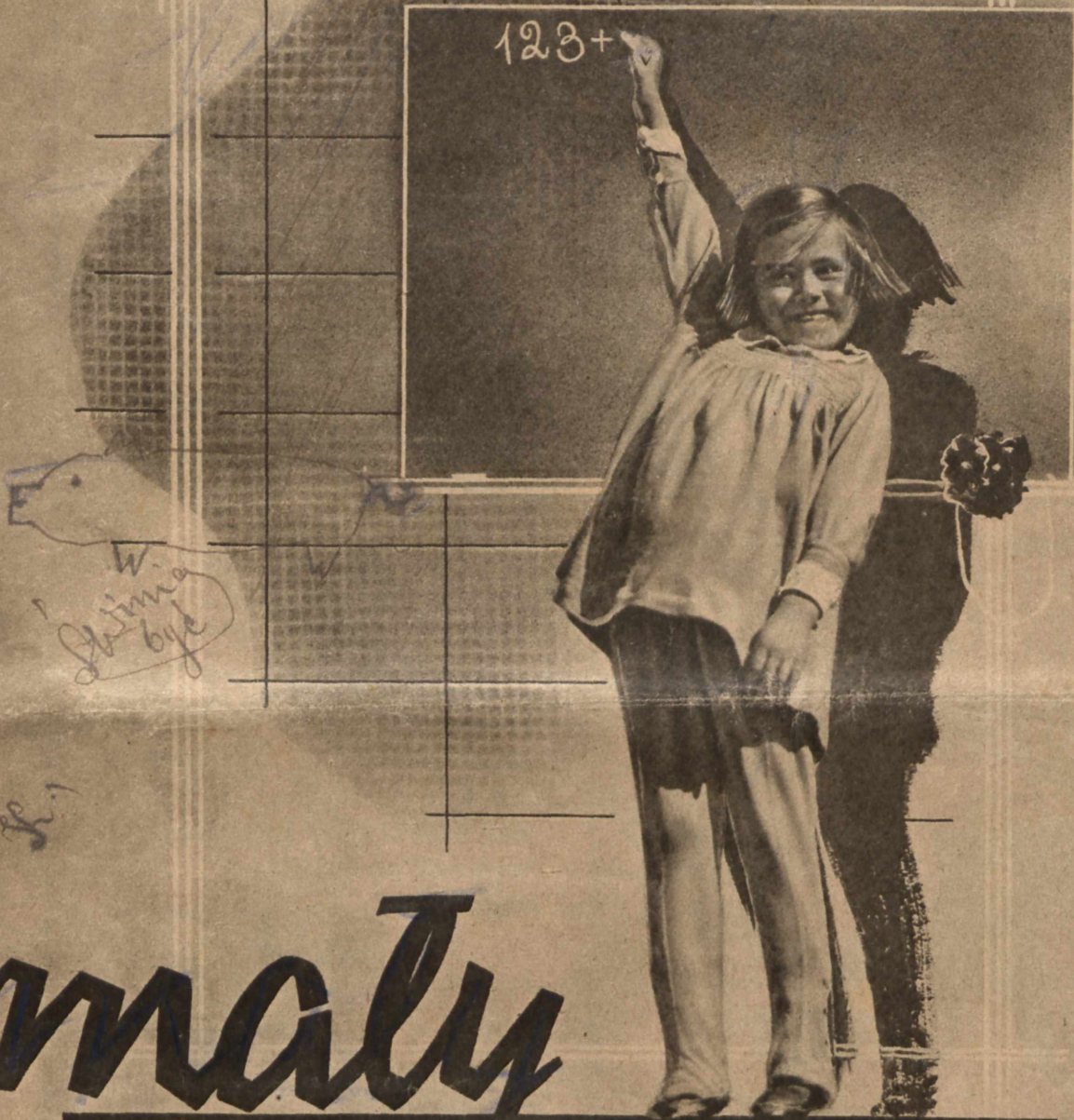


Z. MIEDZWIĘCKI

ZABOSC.

Wojewódzka Biblioteka Publ  
Nr 6029c  
LUBLIN  
im. H. Łopacińskiego



W.  
Główna  
był

E-w

mały

# STYER

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NAJMŁODSZYCH  
KRAKÓW • LUTY • 1942 • NR. 6 (1)

Z. MIEDZWIĘCKI  
ZABOSC.



# Dzieci i zima

Pada z góry śnieżek biały,  
pada, pada, leci...  
Prędko łyżwy i saneczki  
bierzcie miłe dzieci.



Już po lodzie mkną łyżewki,  
z góry suną sanki,  
a na nartach zjeżdża Jurek...  
Nie dopędzi Hanki...

Lecą z główek ciepłe czapki,  
zbyteczne w tym pędzie.  
Oczy płoną, serca biją...  
Ach, dokąd tak będzie?



A na placu, tuż za domem  
Jaś lepi bałwana,  
dał mu w zęby fajkę starą,  
wystroił jak pana...



Śnieżna kula kulę goni,  
złapać się nie mogą.  
Patrzysz w górę: — Leci, już jest...  
Chowasz głowę z trwogą.

Al. Majewska.





# PIRZIEBIEIRANŃCY

— Co tam za pisk na schodach? — dziwi się pani Świerkowska.

Otwiera drzwi i wygląda do sieni. A po schodach pędzi cała gromada małych cudaków.

Jeden ma ogromny, płaski nochal papierowy. A pod nosem wąsiska sadzami namalowane.

Drugi w kozuchu futrem na na wierzch. W ręczniku na głowie.

Trzeci przebrany za dziewczynę: spódnica do pięt, gorset krakowski, a na głowie rogi.

Czwarty czarny jak diabeł. A we włosach sterczy mu pełno piór gęsich. Ten właśnie czarny podbiega do pani Świerkowskiej. Przewraca białkami i wrzeszczy:

— ko-Czy ko-to ko-pa ko-ni ko-Świer ko-kow ko-ska?

— Po jakiemu on gada? I kto to jest ten cudak? — pyta pani Świerkowska.

A cudak kręci upierzoną głową i przedziutko bełkocze:

— ko-To ko-ja ko-ma ko-mo! ko-Po ko-cy ko-gań ko-sku ko-mó ko-wię.

I wyciąga do pani Świerkowskiej straszne, czarne łapy. Wspina się na palce. Chce ją objąć za szyję.

Pani Świerkowska cofa się przestraszona.

— Idź sobie, smoluchu! — woła. A smoluch w śmiech.

— Ha! ha! ha! Nie poznała mnie mamusia?

— Miecio? To Miecio? A coś ty, synku, z sobą zrobił?

— Przebrałem się, mamusiu! Przecież dziś ostatki!

\* \* \*

Następnego dnia już druga klasa mówi po „cygańsku“.

Właśnie pan nauczyciel wchodzi do klasy. Słyszy, jak Zdzisłowa woła:

— ko-Ja ko-nek, ko-czy ko-masz ko-sta ko-lów ko-kę?

A Janek na to:

— ko-Za ko-po ko-mnia ko-łem.

Pan nadstawił uszu i pyta:

— Po jakiemu wy gadacie?

— Po cygańsku! — śmieje się Miecio. — Mówimy nie całymi wyrazami tylko częstkami. Nie Władek od razu, tylko Wła-dek. I jeszcze do każdej części dodajemy ko na początku.

— A ja wciąż nie mogę zrozumieć, jak to trzeba — skarży się Danusia.

— Zaraz ci to na lekcji wytłumaczę — mówi pan. — Każde z was musi umieć dzielić wyrazy na części.

Zaczęła się lekcja. Pan uczy:

— Uważajcie! Ile razy otwieram usta, gdy mówię wyraz: ro bo ta?

— Trzy! — wołają dzieci.

— A gdy mówię: nie dzie la?

— Też trzy!

— A ka mień?

— Dwa razy!

— A wyraz: dach?

— Jeden raz!

— Więc zrozumieliście? Tyle jest części w każdym wyrazie, ile razy otwieram usta, aby ten wyraz wymówić.

*Genowefa Brzezińska i Janina Porazińska*  
(Bądźmy lepsi i mądrzejsi!)

## Jak Janinka na mysz polowała

Mamusia Janinki wychodzi do miasta. Otula się chustą, bo na dworze sypie gęsty śnieg i zimno nielada.

— Janinko! Przyjdź do kuchni — woła — tylko prędko!

Dziewczynka już jest przy mamie.

— Czy na długo wychodzisz, mamusiu? Zostanę sama z Bronkiem?

— A sama. Chyba się nie boisz? Pokuśtaj go, córeczko, niech śpi w kolebusi. A i o ogniu nie zapomnij, aby wam było ciepło. Przyjdę nad wieczorem.

Poprawia mamusia pierzynkę w kolebce, całuje Janinkę i wychodzi.

Trzask... zamknęły się drzwi. Dzieci zostają same. Janinka podrzuca drewek pod blachę. Czerwone języki już je łapią, a drzewo trzeszczy i syczy. Przyjemnie w ciepłej kuchni.

Mały Broniek zasypia. Janinka siada na niskim stołeczku, bierze pudełko z gałgankami i bawi się swoją lalką. Ubiera ją w nową sukienkę. W piecu lekko trzaska ogień, poza tym cicho. Wtem coś skrob... skrob... i znowu skrob... skrob... Coś najwyraźniej chrobocze.

— Mysz! — myśli dziewczynka. — Ojej, mysz! Co ja zrobię?... Gdzie ona jest? Może pod podłogą?

A myszka nagle szust z dziury i pod kredens. Błysnęła czarnymi ślepkami, zakręciła cieniutkim ogonkiem i ani myśli wracać do norki.

Janinka zdrętwiała. Serduszko jej mocno bije i tak jakoś niemiło... Nie wiele myśląc, hyc! ze stołeczka na krzesło. A myszka znowu szust pod stół, szust pod piec, goni w jak najlepsze. Janka tupie nogami, ile może i krzyczy.

— A szszyyyy, a szszyyyy, pójdziesz...

Jeszcze na mnie wskoczysz, a pójdziesz... a pójdziesz...!

Tupie nogami i tupie, potem zdejmuję jeden pantofel i pac! nim w ką. Drugim pac! pod stół... Nabiera teraz odwagi, zeskakuje z krzesła i jazda po haczyk.

— Szuru, muru... pójdziesz myszko!... Szastu, prastu... a sio stąd!

Jak się zamachnie, jak uderzy, tak mały Bronek w bek, bo tyle narobiła hałasu i krzyku.

A myszka z czarnymi ślepkami i cienkim ogonkiem siedzi już w dziurze szczęśliwa, że ją haczyk Janinki ominął.

Tuli Janka małego braciszka, tuli i ucisza, a uszkami słucha, czy mysz nie chrobocze.



— Poczekaj! Dam ja tobie radę! — myśli odważnie.

Ledwo mamusia przyszła do domu, opowiedziała jej Jania przygodę z myszką.

— Gdzie jest łapka na myszy? — zapytuje. — Muszę naszą myszkę koniecznie złapać, bo mi tyle strachu napędziła.

— Na pewno myszołapka jest w spiżarni — odpowiada mama. — Poszukaj.

Szuka Janinka w spiżarni, a ta łapka, jak na złość przepadła. Dopiero po długim szperaniu ma ją Janka w ręce. Czyści myszołapkę dokładnie, potem nakłada na drucik kawałeczek skórki ze słoninki i stawia pod stołem, niedaleko dziury.

— Jak się mysz złapie — mówi mamusia — trzeba dziurę zalepić, bo inaczej szkoda zachodu. Na pewno pojawi się druga i trzecia. Wiesz, córeczko, mamy trochę cementu. Rozrobisz go wodą na papkę i zakleisz dziury.

— Tak, mamusiu, ale niech się najpierw myszka złapie. Zobacz, właściwie cały mur nad listwą popękany. Czy wystarczy cementu na wszystko?

— Wystarczy. Teraz chodź na kolację.

Nazajutrz rano, ledwo Janinka otworzyła oczka, wyskoczyła żwawo z łóżka. Narzuciła szlafroczek i pobiegła do kuchni.

— Jest, mamusiu, jest! — wykrzyknęła. — A jaka wielka!

Dużo jeszcze było krzyku, zanim myszkę z łapki zdjęto. Janinka z radości piszczala, z radości skakała i cieszyła się, że udało jej się myszkę upolować. W końcu zarobiła z wodą cement i nuż! zalepiać wszystkie dziury. Nuż zaklepywać cementowe ciasto! A tak mocno, a tak szczelnie, aby najmniejszej szparki nie zostało.

— Teraz będzie spokój — zawołała skończywszy robotę. — Już mnie żadna mysz więcej nie nastraszy!

A. P.

## Jak zima pracowała cały tydzień bez mała

Przyjechała zima wozem.

A z kim?

Ze śniegiem i mrozem.

Zaraz w poniedziałek

Ubieliła pola kawałek.

A we wtorek

Brylantami obsypała borek.

A we środę

Położyła lusterko na wodę.

A we czwartek

Zmroziła na tarninie tarki.

A w piątek

Dorzuciła śniegu w każdy kątek.

A w sobotę

Malowała na szybach kwiaty złote.

A w niedzielę

Uszczypnęła w nos Anielę.

L. K.

(„Moja Gazetka“)

# MAŁA KUCHARCZKA

Basia jest bardzo zapracowana. Dzisiaj wieczór ma przyjść dziadzio Wiktor. Trzeba przygotować coś dobrego. Trzeba pomóc mamusi.

— Laleczki, czy wiecie, kto dzisiaj przyjdzie?

Ale laleczki siedzą na kanapce, wytrzeszczyły duże ślepki i nic nie mówią.

— Nic nie rozumieją, głuptaski — myśli sobie Basia i zabiera się żwawo do roboty.

Mama zrobiła ciasto, dała dziewczynce stolnicę i wałeczek, a teraz trzeba ciasto rozwałkować w cienki, duży placek. Uff! To bardzo ciężka i poważna praca!

Szary miś położył się na fotelu i śpi. Kotek Bimbuś zwinął się w kłę-



buszek i pewno śnią mu się tłuste myszki, ale Basia nie ma czasu na takie lenistwo. Wałeczek biega jak żywy po cieście.

O, już ciasto wywałkowane. Teraz Basia bierze foremki i wycina z ciasta gwiazdki, serduszka, księżyce.

Drab, duży czarny pies, siedzi sobie koło Basi i patrzy z uwagą na tę robotę. Od czasu do czasu oblizuje swój miły pyszczek i szczeka niecierpliwie. Basia schyla się do Draba i do kłapciastego, czarnego ucha mówi cichutko:

— Jak będziesz grzeczny, to dostaniesz coś dobrego, ale teraz gwiazdki są jeszcze surowe, a mamusia mówi, że z surowego ciasta boli brzuszek.

Ale Drab nie rozumie dobrze tej gadaniny, podnosi się na cztery łapy i zaczyna z taką radością machać ogonem, że strąca ze stolnicy dwie gwiazdki.

— A to głuptas! — złości się Basia. — Widzisz, co zrobiłeś?!

Basia pokazuje Drabowi zabrudzone na podłodze ciasto, a pies hap! i połknął.

— Teraz nic nie dostaniesz. A na nasze przyjęcie też nie przyjdiesz! Powiem dziadziowi, jaki z ciebie głuptas!

Ale Basia widzi, że Drab się nic a nic nie martwi, tylko dalej macha ogonem. Pewnie! Wie, że dziadzio bardzo lubi Draba, wszystkie psy, i koty, i ptaki, i ludzi. Dziadzio jest strasznie kochany, ogromnie! Trzeba prędko upiec ciastka i Basia sama



policzy, ile kto dostanie. Mamusia najwięcej, bo zrobiła ciasto. Dziadzio też dużo, bo jest gościem i opowiada takie piękne bajki. Jedna gwiazdka musi być dla ptaszków, bo są bardzo zmarznięte i aż piszczą za oknem. Drab nie dostanie ani kawałeczka, bo to łakomczuch i kradnie. Dla wszystkich wystarczy.

— Czy już skończyłaś córeczko? — pyta mamusia.

— Tak, już wszystkie gwiazdki wykrojone.

— Moja mała gospoś. Idź i włóż czysty fartuszek, bo dziadzio już nadchodzi.

Dzwonek w przedpokoju.

*Joanna Czarkowska*

# PIŁECZKA

U pana Zajskiego można dostać wszystko, czego dusza zapragnie. Dla dziewczynek są laleczki, wstążki i korale. Dla chłopców są żołnierze ołowiani, trąbki i łuki. A i dla chłopców i dla dziewczynek są różne, przeróżne cukierki i smakołyki.

U pana Zajskiego można także dostać wiele innych rzeczy. Można dostać na przykład piękne kolorowe piłeczki.

Właśnie z taką piłeczką była cała historia.

Piłeczkę kupiła sobie Hania. Była to piękna duża piłeczka, czerwona w białe kropki. Hani bardzo się podobała. Chwyciła ją w obie rączki, przycisnęła do piersi i pobiegła na podwórko.

— Patrz, jaką mam ładną piłeczkę! — zawołała do Zosi.

— Chodź, oglądnij moją piłeczkę! — zaczęła Wandzię:

Dziewczynki obejrzały piłeczkę i Wandzia powiedziała:

— Wiesz, Haniu, ta piłeczka mi się nie podoba. Wygląda zupełnie jak muchomor. Powinnaś ją wymienić na niebieską.

Hania spojrzała z żalem na piłeczkę, ale posłuchała Wandzi i pobiegła do pana Zajskiego.

U pana Zajskiego było dużo ludzi, jak to zwykle rano. Jeden kupował cebulę, drugi grzebień, trzeci igły. Wszyscy pchali się do stołu.

— Dla mnie proszę kapustę! — wołała jedna pani.

— Proszę kilo soli, ale prędko, bo mi się śpieszy! — krzyczała druga pani.

— Ja już tak długo czekam, proszę mi dać rachunkowy zeszyt! — pisał mały chłopak.

Pan Zajski biegał za ladą, wskakiwał na drabinkę, zdejmował z półek zeszyty, grzebyki, ołówki. Pani Zajska ważyła cebulę, sól, kapustę.

A panna Zajska siedziała w kasie i przyjmowała pieniądze.

Hania weszła do sklepu z piłeczką w ręce. Chciała ją prędko wymienić na niebieską i wrócić na podwórze. Więc zaczęła się pchać do lady. Potrąciła chłopczyka, jakiejś pani stanęła na nogę. Wreszcie dotarła do samego stołu i zawołała:

— Proszę mi wymienić piłeczkę na niebieską!

Pan Zajski obejrzał się.

— Poczekaj chwilę, Haniu, dopiero co przyszedł. Inni czekają już dłużej.

I wyciągnął rachunkowy zeszyt dla chłopczyka.

— Ale ja tu już raz byłam! — zawołała Hania.

— Trzeba było sobie od razu wybrać taką piłeczkę, jaka ci się podoba — rzekł pan Zajski.

Oburzona Hania chciała się przepchać na drugi koniec lady do pani Zajskiej. Ale po drodze przycisnęła piłeczkę do brzegu stołu, ludzie popchnęli ją i paf! piłeczka pękła.

— Ojej, co ja zrobię?

Hani łzy stanęły w oczach. A pani Zajska pokiwała głową i powiedziała poważnie:

— Widzisz, Haniu, sama się ukarałaś.

*J. Morska*

## Pan Dratewka szewc z pradziada...

Pan Dratewka, szewc z pradziada, ledwie błysnie dzionek złoty — na zydelku swym zasiada do codziennej swej roboty. I do późnej zwykle nocy przy warsztacie, gdzie najlepiej, sam, jak palec, bez pomocy szyje buty, skórę klepie! A że w fachu swym się stara i sił w pracę wkłada wiele, ma roboty, co niemiara, no i... liczną klientelę.

*E. Klonecki.*





# ROBIMY KUKIEŁKI

Na dwóch drewnianych koziołkach przy oknie stała duża szopka. Mieniła się kolorami i błyszczała od złota i srebra. Była zbudowana na dużej deszczulce. Miała dwie wieże po bokach, a w środku stajenkę nakrytą słomianym daszkiem, nad którym błyszczała złota gwiazda. Wieże były zrobione z cienkich patyczków oblepionych kolorowym papierem i miały okna z celofanu.

W głębi stajenki widać było żłóbek z Dzieciątkiem, nad którym pochylała się Matka Boska i św. Józef. Z boku stali i klęczeli pastuszkowie z osiołkiem, z owieczkami, wołkami i barankami.

Na przodzie szopki począwszy od wież przez całą długość podstawy biegły równoległe dwa rowki. Tędy miały przechodzić kukiełki.

— Szopkę mamy już gotową — cieszyli się chłopcy — teraz wykończymy tylko kukiełki i zrobimy przedstawienie.

— Zbliźcie się i przypatrzcie — rzekł Pawełek zwracając się do zaproszonych dzieci.

— Jaka śliczna szopka! — zawołała Jaga podchodząc bliżej i trzymając Maciusia za rękę. — Jakżeście potrafili ją zrobić, przecież to chyba bardzo trudno?

— Nam się też zdawało, że trudno, ale daliśmy sobie jakoś radę.

Robiliśmy ją we trzech: ja, Pawełek, i Antoś. Jasiek od kowala pomógł nam zrobić podstawę. On się na tym zna doskonale, bo chodzi z kołędnikami. Pokazał nam ich szopkę. Ach! Jaka jest śliczna! Warto ją zobaczyć. Jest tak wielka jak kredens, wieże ma piętrowe. A ile mają lalek!

— Nasza jest mała — tłumaczył Boguś.

— Ale bardzo ładna — zachwycały się dzieci. A Anka, siostra Antosia, i Hania, jej koleżanka, objęły się wpół i wpatrywały się w szopkę jak zaczarowane.

— Teraz mamy tylko jeszcze trochę roboty z kukiełkami. Możebyście nam pomogli, już są zaczęte.

Dzieciom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Chłopcy wyjęli z pudełka przybory do robienia kukiełek: druty, drewnienka, szmatki.

— Tutaj jest figurka kominiarza — rzekł Pawełek pokazując wyciętą z drzewa, trochę jeszcze niezdarną główkę, która była przymocowana do niewielkiego patyka. Ręce i nogi były z drutu poowijanego szmatkami.

— Teraz go trzeba tylko ubrać.

— To ja go ubiorę! — zawołała Anka.



— Ja także!

— I ja też!

— Możecie ubierać te laleczki, które już są gotowe, ja tymczasem skończę głowę kominiarza, Antoś listonosza, a Boguś górąla, bo tych nam jeszcze brakuje — mówił Pawełek.

Dzieci zasiadły przy wielkim stole, porozkładały przybory i zaczęła się robota. Mama Pawełka przyniosła im jeszcze całe pudło szmatek, rozmaitych resztek, wstążek, guziczków, świecidełek, koralików i każda dziewczynka dostała jedną lalkę, którą miała ubrać.

— Tylko pamiętajcie, że trzeba cały korpus poowijać szmatkami, potem zrobić suknie czy też spodnie, ale pamiętajcie, że patyczka musi tyle wystawać, aby dobrze można go było trzymać w ręce podczas przedstawienia. Jak już będzie pierwsza kukiełka gotowa, to wam pokażę, jak będzie wchodziła na scenę.

Dzieci pracowały ochoczo i po jakimś czasie Anka zawołała:

— Przekupka jest gotowa!

Figurka była bardzo dobra. Miała charakterystyczny wygląd, była zupełnie podobna do przekupki, jaką Anka widziała na Szczepańskim Placu. Miała szeroką spódnicę, kaptan przypasany fartuchem, chustkę na głowie, a ponieważ twarz miała uśmiechniętą i wesołą, pomalowaną na różowo z wielkimi rumieńcami —

od razu się wszystkim spodobała i dzieci zaczęły wołać:

— Którędy ta lalka wyszła? — pytały dzieci.

— Jaka ładna! Jaka śmieszna! Zupełnie jak żywa.

— Daj ją, wypróbujemy ją w szopce — mówiąc to Boguś wziął figurkę i poszedł do szopki.

Dzieci poderwały się od stołu i pobiegły za nim. Boguś wziął figurkę i stanął za szopką. Po chwili z jednej wieży wysunęła się przekupka i rowkiem posunęła się w stronę drugiej wieży. Suknia dochodziła do podstawy, a patyczka, który trzymał Boguś w ręce, nie było widać wcale, bo od podstawy w dół zwieszała się wkoło szopki firanka, która zasłaniała drewniane koziółki i chłopca wprawiającego w ruch kukiełki.

— Teraz możecie się przypatrzeć, bo jak będzie przedstawienie, to wam już nie będę pokazywał. Wtenczas będziecie siedzieli z daleka i nie będzie wolno zbliżać się do szopki.

Mówiąc to Boguś pokazał wszystkim, że w wieży był okrągły otwór, przez który włożył lalkę od spodu i posuwał rowkiem przez całą scenę.

— Jeśliby przedstawiały dwie lalki równocześnie, wtenczas ja poruszałbym jedną a Pawełek drugą, ponieważ otwory są w obydwóch wieżach, a rowki też są dwa.



— Ach to tak — dziwiły się dzieci.

Przez parę dni trwała gorączkowa praca, a kiedy wreszcie wszystkie kukielki były gotowe, chłopcy zapowiedzieli przedstawienie.

Szopka stała w otwartych drzwiach do drugiego pokoju, a przed nią ustawione były stołki i krzesła, jakie tylko były w domu. Publiczność zajęła miejsca. Przedstawienie się rozpoczęło.

Pawełek i Boguś ukryci za szopką zapowiedzieli początek przedstawienia. Jaga zadzwoniła — i na scenkę wysunął się kominiarz śpiewając na nutę krakowiaka:

*Kominiarczyk ci ja z grodu wawelskiego,  
Tutaj się uczyłem rzemiosła swojego.  
Umiem ja się wspinać po dachach, kominach,  
Moje piękne godła: miotła i drabina.  
Mówią, że w Rok Nowy szczęście  
[w dom przynoszę,  
Kochajcie mnie za to, bardzo o to proszę!*

Dzieci zaczęły klaskać, kominiarz zniknął, a po nim zaczęła tańczyć i śpiewać krakowianka:

*Krakowianka jestem, strojna, urodziwa,  
Gdy słyszę muzykę — do tańca się zrywam!  
Śpiewać także lubię piosenki wszelakie  
Polki i mazurki — takie i owakie.  
Moje strojne szaty tak się podobają,  
Że i lalki nawet w nie się ubierają.*

Za krakowianką maszerował w takt krakowiaka policjant i śpiewał:

*Mundur mam wspaniały, piękną pelerynę,  
Mam też rękawiczki i dostojną minę.  
Stoję na ulicy, porządku pilnuję,*

*Autom też z rozmachem drogę pokazuję.  
Ładu i spokoju strzegę w dzień i w nocy  
I zjawiam się zawsze, gdzie trzeba pomocy.*

Po policjancie wtoczyła się na scenę przekupka i zaśpiewała krzykliwie:

*Na Szczepańskim Placu sprzedaję jarzyny,  
Jestem dumna z tego, zaraz poznać z miny.  
Stoję przy straganie choć deszczowa pora,  
Mówią, że m kłótniwa i do bitki skora.  
Dzieciom czasem jabłko ładne podaruję,  
Bo tych małych gości najwięcej miłuję.*

Za przekupką wysunął się strażak.

*W hełmie i mundurze, z gumianym orężem  
Jestem ja przez chłopców uwielbianym mężem!  
Gdy tylko posłyszą: trata, trata, trata —  
Biegną, gdzie się pali fabryka czy chata.  
A ja po drabinie wspinam się do góry  
I sikawką zlewam rozpalone mury!*

Po strażaku śpiewała kucharka.

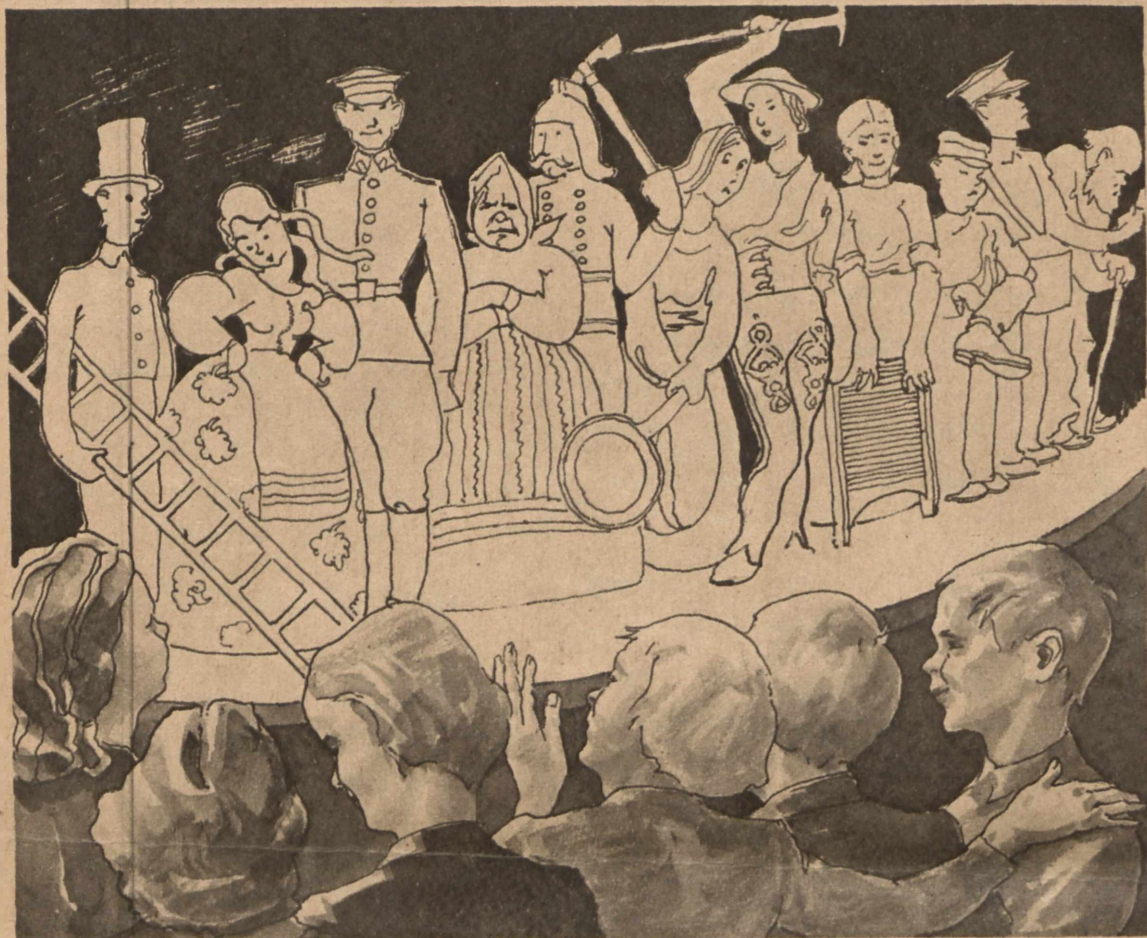
*Jestem kuchareczką, smażę i gotuję,  
Wojna czy nie wojna — ja głodu nie czuję.  
Patelnia i rondel to narzędzia moje,  
Wszyscy przy mnie syci i ja sobie pojem!  
Hola, moje dzieci, gdybyście słuchały:  
Kucharzami byście wszystkie zostać chciały!*

A teraz rozległo się znowu klaskanie i wesołe okrzyki, bo na scenie ukazał się góral.

*Smukłym ja góralczyk od Zakopanego,  
Śliczny noszę ubiór ze sukna białego.  
Na wysokich halach owce latem pasę,  
Bo jestem pasterzem, zowią mnie juhasem.  
Na weselach śpiewam, tańczę zbójnickiego,  
Jako że kawaler jestem nie od tego.*

Po góralu z podkasanymi rękawami zjawiała się praczka.





Jestem sobie praczka, piórę i prasuję,  
I z tego powodu sobie nie krzywduję.  
Choć zawód mój ciężki, ja go sobie cenię  
I na żaden inny już go nie zamienię.  
Bez mojej pomocy cóżbyście robili,  
Niczym kominiarze czarni byście byli!

Za praczką zjawił się szewczyk  
i zaśpiewał ochoczo:

Szewczyk sobie jestem, buty wam naprawiam,  
Szyję także nowe i stare odnawiam.  
Majster mój rzemiosła uczył mnie trudnego,  
Kopyta z pocięgiem używał do tego!  
Lecz mu jestem wdzięczny, bom pojął  
[swą sztukę  
I sam teraz chłopców biorę na naukę.

A teraz z wieży ukazał się listonosz  
i kłaniając się poważnie zaśpiewał  
ku swej chwale.

Listonosz, listonosz zawsze pożądany,  
Z listem i pieniędzmi jest oczekiwany.  
W Nowy Rok życzenia składa z kominiarzem,  
Wtedy wam przynosi swoje wiersze w darze:  
„Moi drodzy państwo byście sto lat żyli,  
Jedli tłuste gęsi, mleko samo pili“.

I tak jedna kukiełka za drugą  
śpiewała i tańczyła. Wreszcie na  
końcu idzie, kiwa się, kusztyka, przy  
tym podśpiewuje dziadek.

Jestem stary dziadek, z torbą i garnuszkiem,  
Z piętrem na piéterko chodzę z pustym brzuszkiem.  
Czasem mi do torby wrzucą coś dobrego,  
Ale prędzej za drzwi wypchną mnie biednego.  
Lecz ja się nie gniewam i znowu przychodzę,  
Jak mi dadzą zupki — zaraz się pogodzę.

Maria Zagórowska.



# MIOTŁA NIE HAŃBI

Na wieży kościoła Mariackiego odezwał się hejnał. Odtrąbiono godzinę drugą po południu.

W cichej zazwyczaj przecznicy, przy której mieściła się szkoła, zaroiło się, zawrzało jak w ulu. To z bramy szkolnego budynku wysypała się młodzież i rozbiła się na wesołe grupy.

Biegli, przepychali się. Niezapięte w pośpiechu płaszcze rozwiewały się na wszystkie strony, tornistry dociągali do sprzączki, widoczne było, że bardzo im się śpieszyło i że jak im się zdawało, zbyt długo siedzieli na szkolnych ławach.

Podczas tych kilku godzin, które spędzili w szkole, spadł obfitszy śnieg i pokrył puszystą powłoką chodniki, jezdnię i dachy domów. Widok ten ucieszył chłopców. Zaczęli zbierać w garście bielutki śnieg i obrzucać się nim.

— Aleś ty, Franek, bajdurzył dziś na lekcji, niech cię nie znam! Powtarzałeś ciągle w kółko jedno i to samo, jakaś się... Miałeś nieszczęśliwą minę, stałeś, jakby ci kto pięty przypiekał, a my ryczeliśmy ze śmiechu w ławkach!

— Widziałem, widziałem, że ryczeliście i słyszałem, ale dobrnąłem do końca i dostałem dobrą ocenę! Widzisz, ja mam taką paskudną naturę, że lękam się, jak mnie profesor wyrwie, chociaż dobrze umiem i aż mi się gorąco robi ze strachu, a później już idzie jak z płatka...

— Dobrze umiem, gadaj zdrow...

W tej chwili duża pecyna śniegu, rzucona z tyłu pomiędzy ich głowy, zwróciła ich uwagę. Rzucili się, ażeby nazbierać śniegu i dać odwet!

Było to hasłem do ulubionej zabawy chłopców. Kule leciały we wszystkie strony, a śmiechu i krzyku było przytem co niemiara.

— Chłopcy, chłopcy, w tej uliczce możecie się bawić, ale pamiętajcie, zachowujcie się przyzwoicie i ostrożnie, kiedy wejdziecie na Rynek, bo o nieszczęście łatwo — rzucił im uwagę przechodzący szybko koło nich profesor matematyki.

— Rozkaz, panie profesorze! Serwus, do widzenia, panie profesorze — wołali za nim baraszkując w dalszym ciągu.

Tak jak przyrzekli, gdy weszli w Rynek, uspokoili się wnet, otrzepali śnieg z płaszców i czapek i zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach, dążąc ku swoim domom. Machali sobie rękami na pożegnanie. Dziś sobota. Umówili się prawie wszyscy po obiedzie na ślizgawce. Żegnali się więc krótkim „dowiedzenia“

Jedni z ostatnich szli Maciek i Zygmunt. Mieszkali w jednym domu. Zygmunt był synem dozorca domu, ojciec Macieja był lekarzem i mieszkał na pierwszym piętrze. Chłopcy znali się od dzieci i zawsze bawili się razem. Razem poszli do szkoły i siedzieli na jednej ławce. Lubili się bardzo.

W bramie rozeszli się.

— Zjadaj szybko obiad, Zygu, Franek i Stefan przyjdą po nas, pójdziemy razem na ślizgawkę.

Kiedy Zygmunt wszedł do małej izdebki przylegającej do dyżurki, stropił się zobaczywszy rozebrane łóżko, na którym leżał ojciec.

— Co tatusiowi? — spytał niespokojnie.

— Et, nic takiego, tylko reumatyzm dokucza mi dziś bardzo, prawdopodobnie na ten



śnieg, co spadł w nocy. Doktor obejrzał mi nogę i kazał przynajmniej ze trzy dni poleżeć. Bardzo mi jest smutno, synu, że będziesz musiał mnie zastąpić i to w dodatku w dość ciężkiej pracy, bo jak na złość tyle śniegu napadało. Trzeba omieść chodnik przed domem, zgranać śnieg w zgrabne sterty, zeszkrobać porządnie i omieść podwórze ze śniegu. Wiem, że chciałbyś pewno dziś przy sobocie wybrać się z kolegami na ślizgawkę, ale co zrobić.

Zygmuntowi zrobiło się bardzo markotnie, ale nie okazał tego ojcu. Rzeczywiście szykował się już od wczoraj, jak tylko śnieg spadł.

Nic ważnego, tatusiu, zima jeszcze się nie kończy, a najważniejsze twoje zdrowie. Czy zaraz mam zacząć?

— Nie, zjesz obiad, może odpoczniesz trochę. Masz tam mój fartuch skórzany, miotły i skrobaczki stoją przy drewni.

Zygmunt nie odpoczywał po obiedzie, szkoda mu było czasu, a nuż uda mu się uporać z robotą dosyć wcześnie, żeby choć na godzinkę pobiec na ślizgawkę! Ubrał się w ojca fartuch sięgający mu do ziemi, zrzucił bluzę, chuchnął w ręce, tak jak to ojciec robił i zabrał się do roboty.

Omiótł już spory kawałek, kiedy z bramy wybiegł Maciek.

— No, co to za zabawa? Dlaczego się nie szykujesz na „Ligę“?

— Nie pójdę z wami — odrzekł smutnym głosem Zygmunt. — Ojciec zachorował, muszę go wyręczyć.

— Długo to potrwa? Może szybko uwinięz się, zaczekam na ciebie...

— E, nie czekaj, może wpadnę do was jak skończę robotę...

— Gdzie masz drugą miotłę, skrobaczkę, dawaj, pomogę ci...





I mówiąc to szybko zrzucił kozuszek, opasał się workiem i zaczęli we dwójkę pracować aż echo rozległo się, aż pot spływał im z czoła.

— Coście wy poszaleli? Maciej, zostałeś adiutantem stróża? — wołali nadchodzący z drugiej strony Franek i Stefan, śmiejąc się głośno.

— Rzućcie te miotły i chodźcie na ślizgawkę, późno już...

Maciek zaczerwienił się z oburzenia.

— Może i adjutant stróża, a wyście nie warci pięty tego stróża! — zawołał zaperzonym. — Wynoście się, idźcie swoją drogą, nie przeszkadzajcie nam, durne pały... Cóżes Zyg zmarmotniał, co sobie robisz z tych głuptaków... no, wynocha...

W tej samej chwili ukazał się w bramie ojciec Maćka, pan doktor Leszczyński.

— Jak wam nie wstyd, chłopcy — powiedział do nich. — Franku, myślałem, że jesteś mądrzejszy. Jesteście już przecież mężczyźni pod wąsem, ile masz lat, dziesięć czy jedenaście? No, jedenaście, widzisz, a taki niemądry jesteś. Czy to wstyd zamiatać ulicę? Jestem dumny z mojego syna, a on szczyć się może przyjaźnią z takim porządnym chłopcem, jakim jest Zygmunt. Chciałbym, żeby ich przyjaźń nigdy nie zerwała się. Bardzo słusznie zrobił, że pomaga w pracy koledze, przyjacielowi. Miotła nie hańbi człowieka. Jego ojciec, nasz dozorca pan Andrzej, chociaż zamiata podwórze jest porządniejszym człowiekiem niż niejeden taki, który by nigdy nie wziął do

ręki miotły, bo uważa, że to jest hańbiące zajęcie. No, zagadałem się z wami, a przecież czeka na mnie moja miotła, która tylko trochę inaczej wygląda, ale tak samo nazywa się obowiązkiem i pracą. Dowidzenia, chłopcy, nie gniewajcie się za to kazanie.

Mówiąc to, wszedł do czekającej na niego dorożki.

Franek i Stefan stali chwilę jeszcze zaczerwienieni po same białka oczu. Poszeptali między sobą, chwycili stojące miotły, powiesili na kłamce łyżwy i zabrali się do roboty.

Po godzinie, kiedy ustało skrobanie czterech skrobaczek, brzękły cztery pary łyżew, zawieszonych na ramionach maszerujących wesoło na ślizgawkę chłopców.

Zygmunt wpadł jeszcze przedtem do ojca i uspokoił go, że wszystko jest zrobione, że może spokojnie leżeć.

— A światło na klatkach schodowych zapali Jędrak, ten od szewca z przeciwka, na pewno to zrobi, nie zapomni — wołał za drzwiami.

Franek i Stefan podeszli do Zygmunta.

— No, chyba nie gniewasz się na nasze głupie gadanie, myśmy tak tylko powiedzieli.

— Czegóż bym miał się gniewać, wiem, że jesteście dobre chłopaki, tylko powiecie tak czasem, co wam ślina na język przyniesie.

— No, dosyć już dosyć — wołał Maciej — śpieszmy...

*Romana Zawistowska.*

Okladkę projektował Czesław Ługowski.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Postatr. 1. Redakcja „Steru”, tel. 2-23-68.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Universitätsstr. 19 a. Administracja „Steru”.

Jeden nr. „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.  
Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.



# OGRÓD ZOOLOGICZNY





M  
Z  
7